

MARGINESY

# Podejrzany

Od kilku lat wszystkie święta i inne uroczystości, na które zjeżdżali się wszyscy członkowie licznej rodziny, zaczynały i kończyły się dla Agnieszki tak samo. Agnieszka przekroczyła już trzydziestkę i była zadbaną, zawsze świetnie ubraną specjalistką na wysokim kierowniczym stanowisku. Jednak ani jej sukcesy zawodowe, ani liczne zainteresowania, ani nawet mnóstwo ciekawych podróży nie interesowało rodziny tak bardzo jak to, kiedy wreszcie wyjdzie za mąż i założy rodzinę. Wszystkie jej kuzynki, choć młodsze, miały już mężów i różowe bobaski. Jednak Agnieszka patrząc na głośną, rozpląkaną gromadkę dzieciaków nie odczuwała narastającego instynktu macierzyńskiego. Nie odczuwała także potrzeby zakładania rodziny, gdy przy świątecznym stole widziała mężów jej kuzynek obżerających się jak wygłodniałe stado prosiaków. W jej oczach liczył się dla nich tylko pełny brzuch, piwo przy telewizorze i od czasu kilka nieskomplikowanych bodźców pokroju kretyńskiego filmu.

Presja rodziny i otoczenia była jednak tak duża, że Agnieszka postanowiła złamać się pod jej naporem i umówiła się na zaaranżowaną randkę w ciemno. Kolacja okazała się jednak jedną wielką katastrofą. Spotkanie było umówione w modnej i drogiej restauracji, więc Agnieszka ubrała nową, śliczną sukienkę i zamszowe szpilki. Jak okazało się już na wstępie - randkowy partner Agnieszki zapewne nie wybierał sam restauracji, bo od progu był bardzo zdziwiony. Nie mniej zdziwiła się Agnieszka, gdy zobaczyła mocno już łysiejącego Zbyszka ubranego w ciemnozielony sweter w romby, prawdopodobnie po dziadku. Zbyszek wzdychał i gwizdał już przeglądając menu, wielokrotnie podkreślając jak wysokie są ceny w knajpie, w której się umówili. Mężczyzna, mimo, że faktycznie był znanym kompozytorem muzyki, nie miał absolutnie nic ciekawego do powiedzenia. Agnieszka w pośpiechu wymyśliła cierpiącą przyjaciółkę, która dzwoniła z prośbą o pomoc i uciekała z restauracji, zanim podano deser. Gdy wyszła z lokalu akurat podjechała zamówiona taksówka. Wsiadła do niej pospiesznie, w tym samym momencie przystojny brunet otworzył drzwi z drugiej strony. Okazało się jednak, że jadą w tę samą stronę, ba!, na tę samą ulicę. Gdy dziewczyna wysiadła z samochodu, zabawny i czarujący brunet poprosił o jej numer telefonu.

Następnego poranka obudził ją dowcipny i uroczy sms. Zgodziła się na zaproponowane przez bruneta niedzielne śniadanie, a później spacer, kawę... Zanim się obejrzała wspólne śniadania z Kornelem weszły na dobre w jej rozkład dnia. Po kilku tygodniach tej intensywnej znajomości, za namową ukochanego Agnieszka wynajęła swoje mieszkanie i przeprowadziła się do apartamentu Kornela. I tak sielanka trwała nadal i pewnie trwałaby jeszcze długo, gdyby nie to, że dziewczyna podczas sobotnich porządków, pod nieobecność konkubenta odkryła plik listów, prawdopodobnie od byłej dziewczyny. Długo biła się z myślami, jednak finalnie postanowiła ich nie czytać. W kolejnych szufladach trafiła także na jakieś drobne pamiętki i inne zwykłe rzeczy, jakie każdy ma po jakimś byłym związku. Tego wieczora jednak postanowiła dopytać Kornela o szczegóły tamtej relacji. Mężczyzna wił się jednak jak węgorz i ewidentnie nie chciał mówić, zbywając Agnieszkę. I może z nadmiaru wolnego czasu, a może niedoboru snu maskowanego kolejnymi tabletkami - ale w głowie kobiety zaczynały kotłować się kolejne, coraz dziwniejsze myśli na temat tajemniczej byłej. Męczyło ją to do tego stopnia, że na jednej z imprez zaczęła żonę przyjaciela swojego mężczyzny i zaczęła podpytywać o szczegóły tamtej znajomości... I tak dowiedziała się, oczywiście w wielkiej tajemnicy, o wielkiej miłości Kornela, o planach hucznego wesela i wspólnym domu, który podobno był już w trakcie budowy. A także o tym, że dawna narzeczona zniknęła w dziwnych okolicznościach i nikt o niej więcej nie słyszał.

Od tego wieczora Agnieszka bacznie obserwowała Kornela. Nie wypytywała więcej o dawny związek, ale zwiększyła dawkę środków pomagających jej zasnąć i odpocząć. Właściwie - z każdym dniem zaczynała podejrzewać swojego mężczyznę o coraz gorsze rzeczy, aby w końcu zacząć rozmyślać nad tym, czy osoba z którą już dwa miesiące dzieli łóżko nie byłaby zdolna do skrupulatnie zaplanowanego morderstwa. Wtedy też Agnieszka zdecydowała się otworzyć i przeczytać znalezione podczas porządków listy. To, co w nich przeczytała dołało tylko oliwi do ognia. Autorka listów pisała o pogarszającej się relacji między nią a narzeczonym, o piętrzących się problemach. Jeden z listów, ostatni i mocno zniszczony informował chwiejnym pismem o ciąży.

Od tego czasu Agnieszka poważnie wzięła się za swoje śledztwo. Wypytywała kolejnych znajomych, przejrzała wszystkie papiery, książki i foldery w komputerze Kornela. Mężczyzna zdawał się nie zauważać całej tej narastającej fali szaleństwa, pochłonięty ważnym projektem w firmie. Jednak, gdy już zauważył - trudno było ratować sytuację. Wszyscy jego znajomi traktowali Agnieszkę jak szaloną, nawet matka zaczęła poważnie zastanawiać się, jak pomóc synowi uwolnić się od nowej partnerki. Sama Agnieszka faktycznie uważała, że znalazła się o krok od udowodnienia, że mieszka z mordercą.

Początkowo Kornel nie chciał wierzyć, że jego dziewczyna, na punkcie której zwariował od samego początku, może zachowywać się w tak absurdalny sposób. Próbował porozmawiać z Agnieszką, wyciągnął ją na romantyczną kolację, kupował bilety do kina i ulubionego teatru. Wszystko na nic - kolejne takie ruchy traktowane były jako dowody wymyślonej zbrodni.

Miarka się przebrała, gdy Kornel szukał proszków na ból głowy w szafce nocnej swojej dziewczyny. Tabletek nie znalazł, za to natknął się na niewielki pistolet. Ty razem nie wytrzymał, zabrał Agnieszkę na spacer i spokojnie wszystko wytłumaczył. Zaczął opowieść, do której miał nadzieję więcej nie wracać. O ciąży, której razem z dawną partnerką swojego życia bardzo się bali, o tym, jak powoli układali sobie kolejne fragmenty życia i o wielkim załamaniu, jakim było nagłe poronienie. Opowiadał tak jeszcze dłuższą chwilę, nie mogąc zatrzymać narastających łez. Gdy skończył, nabrał świeżej porcji powietrza do płuc i spokojnie poprosił Agnieszkę, żeby jeszcze tego wieczoru wyprowadziła się.

# Zawiniły ...skarpetki

NA PROSTEJ I ZAKRĘTACH

**Siatkówka cieszy się w naszym kraju olbrzymią popularnością. Na mecze naszych reprezentacji, obojętnie w których halach odbywają się, przychodzi komplet widzów. A przed telewizorami zasiada jeszcze więcej sympatyków tej gry. A takiego dopingu nie ma praktycznie żadna inna reprezentacja.**

Rzecz zrozumiała. Nasze reprezentacyjne ekipy zasłużyły na uznanie i fantastyczny doping. W końcu mocno usadowiły się w światowej czołówce. Potwierdziły to w ostatnich latach dwukrotnym zdobyciem mistrzostwa Europy - kobiety, i wicemistrzostw świata i mistrzostw Europy - mężczyźni. Do tego należy doliczyć dobre występy w innych ważnych międzynarodowych turniejach. Nasi siatkarze i siatkarki zyskali olbrzymią sympatię kibiców.

Nic też dziwnego, że sympatycy siatkówki z dużym zainteresowaniem oczekiwali na występy naszej męskiej reprezentacji w turnieju o mistrzostwo świata rozgrywanego we włoskich miejscowościach. Oczekiwali z dużym zainteresowaniem i z dużymi nadziejami na dobry wynik. Ba, nawet na jeden z medalu. W końcu Polacy bronili tytułu wicemistrza świata zdobytego cztery lata temu w Japonii.

Szybko jednak nastąpiło rozczarowanie. Po gładko zdobytym zwycięstwie nad Kanadą, wygranym w pięciosetowym meczu z Niemcami i pokonaniu Serbii przysły kompromitujące porażki z Brazylią i Bułgarią. Przegrany mecz z Brazylią (od lat najlepszą drużyną świata) można wytłumaczyć m.in. tym, że Polacy mają kompleks Brazylijczyków, z którymi nie potrafią nawiązać równej walki. Natomiast konfrontację z Bułgarami można jednoznacznie określić jako klęskę. W efekcie nasza reprezentacja znalazła się poza pierwszą „dwunastką”.

Od początku mistrzowskiego turnieju komentatorzy narzekali na system rywalizacji (rozgrywek). Mówiło się, że był ustawiony pod Włochów, że stwarzał możliwości manipulowani wynikami. Nie tylko wygranymi setami, ale małymi punktami, które decydowały o ostatecznym awansie z grup eliminacyjnych. Faktycznie, nie był to szczęśliwy system.

W końcu jednak na długo przed rozpoczęciem rywalizacji znany był wszystkim uczestniczącym w mistrzowskim turnieju ekipom. Należało więc dobrze go przeanalizować i dostosować do niego całą taktykę rywalizacji.

Faktycznie w trakcie turnieju doszło do „ustawiania wyników meczów”. Jednak nie przez sędziów, tylko przez niektóre reprezentacje. Tak uczynili Serbowie, którzy najpierw niespodziewanie przegrali z Kanadą, a następnie nie chcieli wygrać z Polską. Do awansu wystarczył im jeden wygrany set w meczu z Polską. I tak też było. Serbowie awansowali do drugiej fazy eliminacji, w której trafili na słabszych teoretycznie przeciwników. W efekcie awansowali do półfinału, w którym przegrali z rewelacyjnym zespołem Kubu. Parodią był mecz Brazylii z Bułgarią. Obie drużyny nie chciały wygrać. Bułgarzy wystawili nawet „drugą” szóstkę.

Brazylijczycy grali normalnym składem i po mistrzowsku przegrali mecz. Wiedzieli co robią. Swoją wielką klasę pokazali w meczu półfinałowym z Włochami. Wygrali pewnie i awansowali do finału, w którym przeciwnikiem była drużyna Kubu.

Polacy szybko opuścili Włochy. No i w kraju zaczęła się dyskusja na temat tego występu naszej reprezentacji. Mimo słabej gry naszej drużyny, kibice wcale nie pomstowali na siatkarzy. Nie domagali się też „głowy” trenera Daniela Castellaniego. Faktem jest, że Polacy nie kombinowali w meczach. Grali by wygrać. A jednak mecz z Bułgarią pokazał słabość naszego zespołu. Co się stało? Jakie były przyczyny takiej postawy i gry zawodników? Niektórzy działacze obwiniają trenera. W oczach tych działaczy jest on zbyt liberalny w stosunku do zawodników. Na zbyt wiele im pozwala. Postępuje inaczej niż jego poprzednik Raul Lozano. Na przykład Raul Lozano instruował zawodników co mają mówić dziennikarzom. Natomiast Daniel Castellani nie wtrąca się do tych spraw.

Należy jednak uznać, że w reprezentacyjnej ekipie nie działa się dobrze. Polacy przegrali przecież z kretesem dwie najważniejsze imprezy w tym roku - Ligę Światową i teraz mistrzostwa świata. Coś musiało być nie tak w przygotowaniach. Chociaż siatkarzom stworzono dobre warunki do przygotowań. Szefowie związku podali, że przygotowania do mistrzostw kosztowały prawie 8 milionów złotych. A mimo to siatkarze narzekali w rozmowach z dziennikarzami. Mówili, że w reprezentacji grają „społecznie”. Oburzają takie wypowiedzi prezesa PZPS Mirosława Przedpełskiego. Podobnie jak narzekanie, że zawodnicy nie mieli wystarczającej ilości ... skarpetek. Kadrowicze nie grają wcale za darmo. W ubiegłym roku zarobili po 200 tys. zł. Ci, którzy wygrali mistrzostwo Europy w Turcji otrzymali stypendia ministerialne po 4600 zł miesięcznie. Do tego doszły premie za złoty medal ME oraz pieniądze za występy w Lidze Światowej.

W tym roku na sprzęt wydano prawie 2 miliony złotych. Również po raz pierwszy nastąpiło ubezpieczenia kontraktów klubowych. Nie można więc zwać winy za nieudany występ w MŚ na... skarpetki.

Wydaje się, że nasi reprezentanci wyjechali do Włoch zbyt pewni siebie. Nie docenili innych zespołów, które poczyniły ostatnio olbrzymie postępy. Po prostu nie ma już w światowej czołówce słabych zespołów. Chcąc stawać na podium należy systematycznie szukać nowych rozwiązań techniczno-taktycznych w grze. W tegorocznym turnieju nasi zawodnicy prezentowali się zdecydowanie gorzej niż rok temu w Turcji, kiedy sięgali po mistrzostwo Europy.

Warto w tym miejscu przypomnieć mądre powiedzenie. Kto stoi w miejscu, ten się cofa. A tak się właśnie stało z naszymi reprezentantami.

Trener Daniel Castellani ma przedłożyć szefom związku dokładny raport i swoje uwagi. Od tego zależą dalsze losy naszej reprezentacji i jego samego. Najważniejsze jednak jest w tej chwili to, by jak najszybciej rozpocząć pracę z reprezentacją z myślą o następnych ważnych imprezach. W tym o turnieju olimpijskim w Londynie 2012 r. Po prostu naszej siatkarskiej reprezentacji nie może tam zabraknąć.

HENRYK MARZEC

